

Boczkowski, Zdzisław

Czy tak było naprawdę?

Przegląd Pruszkowski nr 2, 64-71

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Czy tak było naprawdę?

Zadaję sobie to pytanie i obawiam się, czy czytelnik zechce uwierzyć w takie sploty wydarzeń? Ja bym miał zastrzeżenia, ale tak było naprawdę.

Wojna! Mieszkam z rodzicami we dworze w majątku Parzniew. Skończyłem dziewiętnaście lat. Wojskowa Rejonowa Komenda Uzupelnień w Pruszkowie nie chce mnie przyjąć na ochotnika do wojska. Decyduję się jechać do Warszawy. Siódmego września 1939 roku przyklejam się do jakiegoś batalionu organizującego obronę przy ulicy Szczęśliwickiej. Jestem w mundurze Przynsposobienia Wojskowego. Ósmego września Niemcy już pod Warszawą. W nocy z dziewiątego na dziesiątego września dołączam do pięcioosobowego patrolu idącego na rozpoznanie w kierunku miejscowości Włochy. Nasz dowódca, kapral, który miał znać teren, tak nas poprowadził, że znaleźliśmy się na jakimś polu kapusty, a dookoła stały samochody, czołgi i armaty Wermachtu. Przy pojazdach kręcili się żołnierze. Próby nie zauważonego przemknięcia się przez kordon pojazdów i ludzi nie miały szns powodzenia. Świt zastał nas w kapuście. Dowódca uznał, że przy tak znacznej przewadze wroga w sile żywej i uzbrojeniu, trzeba skapitulować. Poddaliśmy się. Zostaliśmy dołączeni do dużej kolumny jeńców i powoli, idąc przez Włochy, Ursus, Pruszków w kierunku Brwinowa, znaleźliśmy się pod wieczór na rozdrożu przed pałacem w Helenowie.

Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Co robić? W odległości półtora kilometra jest mój dom. Teren znany, ale dookoła gołe pole. Dużo konwojujących Wermachtowców na motocyklach. Na szczęście rozterka nie trwała długo. Część kolumny poszła w lewo do Nowej Wsi, pozostali, a w tej liczbie i ja skręcili w prawo i drogą doszliśmy do Parzniewa. Poczulem przedsmak wolności. Niepewność zniknęła jednak dopiero wtedy, gdy po kilku lub kilkunastu zaczęli nas Niemcy lokować w izbach czworaków po uprzednim usunięciu mieszkańców do kuchennych. Przed drzwiami czworaków chodzili wartownicy, a wchodzić i wychodzić z nich mogli tylko pracownicy majątku ubrani po cywilnemu. Zostałem rozpoznany przez fernali i po godzinie miałem zamiast peowieckiej (Przynsposobienie Wojskowe), zielonej bluzy z granatowymi naramiennikami i patkami, ciemną marynarkę ojca. Teraz nie było już problemu z bezpiecznym wyjściem i udaniem się do domu. Objawów radości z powodu powrotu syna z wojny nie będę

opisywać. Jeszcze w tym dniu ludzie ubrani w cywilne okrycia nie interesowali na tym terenie napastników.

Rano kolumna jeńców poszła dalej.

Chyba dwunastego września, daty dobrze nie pamiętam, w godzinach przedpołudniowych, od strony Brwinowa zaczęła się strzelanina. Oficerowie niemieccy, kwaterujący we dworze, kazali mieszkańcom majątku zejść do piwnic potężnego dwupiętrowego spichrza, zbudowanego z polnego granitu. Obszerne piwnice pomieściły około osiemdziesięciu osób. Zabarykadowaliśmy drzwi różnymi gratami i posiadaliśmy pod ścianami. Od czasu do czasu przed zakratowanymi oknami piwnic widać było przebiegających żołnierzy, w butach z szerokimi cholewami, za którymi tkwiły "handgranaty" (granaty tłuczkowe). Strzelanina wzmagala się. Słychać było długie serie CKM-ów i wybuchy pocisków artyleryjskich. W pewnym momencie przed naszymi oczami, wpatrzonymi w okienka, mignęły inne nogi, w trzewikach i owijaczach. To nasi. Kilku nas młodych rzuciło się do drzwi by rozwalić barykadę. Starsi wstrzymali nas i słusznie, bo za chwilę pokazały się znowu buty z szerokimi cholewami. Taka kołomyjka powtarzała się kilka razy. Jak nasi byli z jednej strony spichrza, to Niemcy z drugiej. Przy którejś z kolei zmianie, w naszym spichrzu głośno zapłakało jakieś dziecko. W tym momencie jeden z "dzielnych wychowanków führera" wsunął lufę karabinu w okienko i strzelił. Siedzący naprzeciw fornał osunął się bez jęku. Kula przebiła mu serce. Żona i dzieci zabitego zanosły się płaczem. Trzeba było siłą zamykać im usta, by nie prowokować Niemców do dalszych strzałów. Strzelanina wyraźnie ustawała, wreszcie całkiem umilkła. Dookoła magazynu byli już tylko hitlerowcy. Chyba się zorientowali, że w piwnicach są ludzie, bo kazali wyjść wszystkim mężczyznom z podniesionymi rękami. Po sprawdzeniu każdego, czy nie ma ukrytej broni, kazali nam znosić do nadjeżdżających sanitarek rannych, a potem zabitych Niemców. Było ich więcej niż naszych i to było pocieszające. Po wykonaniu zadania kazali nam ustawić się w czwórki i popędzając kolbami i kopniakami, popędzili przez Nową Wieś do Nadarzyna. W naszej grupie byli: mój ojciec i brat Tadeusz, wuj Julian Lewicki, który uciekając z Myszkowa dotarł do nas siódmego września, i mój kolega szkolny i przyjaciel Bogumił Kończak. Tu wpędzili nas na ogrodzony wysokim murem plac przykościelny i kazali siadać. Od ludzi, których tam zastaliśmy, dowiedzieliśmy się, że w kościele są zamknięci spędzeni z miasteczka Żydzi. Wyobrażaliśmy sobie co się musi tam dziać! Przed zamkniętymi drzwiami kościoła, przy bramie i między nami, stali żołnierze z karabinami i pistoletami maszynowymi. Zapadał zmrok. Zza muru kościelnego dochodziły krzyki i jęki. Czyjaś głośna modlitwa była przerywana razami bicza czy pałki. Ktoś wzywał Jezusa, inny ratunku. Te grozę wywołujące głosy przerywane były strzałami.

Mimo zmęczenia i głodu, bliskie położenie katowni i daleki huk artylerii, ostrzeliwującej Warszawę, nad którą stała czerwona luna, nie pozwalały nam zasnąć.

Zapamiętałem zwłaszcza jeden epizod z tej upiornej nocy. Przed naszą grupką stał młody żołnierz z karabinem w rękę. Ojciec wyjął srebrną, ze złotymi monogramami papierośnicę i wyciągnął papierosa. W tym momencie żołnierz odebrał ojcu papierośnicę i zaczął się jej przyglądać. Podeszło jeszcze dwóch innych żołnierzy. Papierośnica wróciła jednak do rąk ojca. Zapamiętaliśmy wszakże pożądliwy błysk oczu oglądającego ją żołnierza. Gdy oddalił się od nas, przesunęliśmy się cichaczem o kilkanaście metrów. Ojciec zamienił się z którymś z nas marynarką, papierośnicę schował do papucia wujek Julian, który uciekając z Myszkowa tak poobcierał sobie nogi, że mógł chodzić tylko w papuciach. Około północy zjawił się "znajomy" żołnierz, podszedł w to miejsce gdzie wcześniej siedziała nasza grupka. Pochylając się nad leżącymi, świecił latarką w twarze, macał po kieszeniach. To był żołnierz tego "rycerskiego Wermachtu".

Na drugi dzień około południa sformowano kolumny i zaczęto nas pędzić szosą w kierunku Mszczonowa. Szliśmy środkiem szosy, a po bokach co parę minut przejeżdżały motocykle z koszami, na których były zamontowane karabiny maszynowe. Przejeżdżali również niemieccy kawalerzyści. Bezsenna noc, głód, przeżycia, pragnienie i wzmagający się upał szybko odbierały słabszym siły. Ludzie wychodzący z kolumny na pobocze już do niej nie wracali. Życie ich kończył strzał z pistoletu. Tacy, którzy nie mieli sił, nie byli potrzebni. W miarę jak słońce było wyżej, strzałów słychać było coraz więcej. Kolumna szła dalej. Przechodziliśmy obok dużego pola marchwi, kilku młodych ludzi, idących w pewnej odległości przed nami, przeskoczyło przez rów i zaczęło rwać marchew. Z przejeżdżającego obok motocykla, bez żadnego uprzedzenia, posypały się serie strzałów. Pięć młodych ciał pozostało wśród marchwi. Kolumna szła dalej. Przechodziliśmy przez jakąś wieś, z opłotków wybiegło kilka kobiet, niosąc w wiadrach i garnkach wodę i mleko. Rzucili się do nich eskortujący żołnierze. Strzałami dziurawili naczynia, bili kobiety. Popędzana krzykiem i kolbami kolumna szła dalej. Ojciec nasz, inwalida z pierwszej wojny światowej, ranny w nogę, bok i bez trzech palców u lewej ręki, zaczął kuleć, potykając się i wreszcie tak osłabł, że musieliśmy wziąć go pod rękę. Zmienialiśmy się, był jednak coraz bardziej bezwładny, a nam ubywało sił. Zaczął nas prosić, byśmy go zostawili. Tłumaczył, że została mama i babcia, że może niedługo trzeba będzie chwycić za broń. Oczywiście argumenty te nie przekonywały nas.

Przyszedł wreszcie taki moment, że i nam zaczęły plątać się nogi. Jadący na koniu parę metrów za nami podoficer niemiecki zbliżył się do nas i kazał wyprowadzić i zostawić ojca za rowem. Nasze błagania nie

odniosły skutku. Gdy jego ręka odpinała kaburę "parabellum", uścisnęliśmy ojca i kolumna ruszyła dalej ale już bez niego. Oczy zalewały nam łzy, żal i bezsilna złość ścisnęły za gardło.

Podobnie, jak poprzedniego dnia, wpędzili nas w obręb ogrodzenia kościoła, w którego wnętrzu byli zamknięci Żydzi z miasteczka Mszczonów. Siedzieliśmy na trawie. Myśleliśmy o ojcu, o tym co nas czeka, o bestialstwie żołnierzy noszących na klamrach pasów dewizę "Bóg z nami". W pewnym momencie zauważyliśmy, że furtką obok głównej bramy wszedł olbrzymi żołnierz z trupią główką na czapce i obchodząc kościół dookoła dwa razy wykrzyknął:

- Bososky! Bososky! -

Można to było przy dobrej woli wziąć za zniekształcone nazwisko Boczkowscy. Myśmy jednak woli takiej nie okazali. Minęło może pół godziny, kiedy znów otworzyła się furtka, wszedł ten sam kolos a za nim nasz ojciec. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Poderwali się na kolana. Przytrzymał nas wuj Julian mówiąc:

- Poczekajcie, jak jest wszystko w porządku, to ojciec sam do nas podejdzcie. -

Ojciec spostrzegł nas i uśmiechnięty podszedł, trzymając palec na ustach. Zrozumieliśmy ten gest jako ostrzeżenie przed wybuchem radości, która przecież nas rozpierała na jego widok, że żyje, że jest zdrow i cały. Rzuciliśmy się mu w objęcia nie wstydząc się łez radości. Pochmurny i nadęty SS-man raczył skrzywić w uśmiechu gębę. Gdyśmy już trochę ochłonęli, ojciec powiedział:

- Chodźcie, o nic nie pytajcie, wszystko opowiem. -

Idąc za żołnierzem wyszliśmy za bramę, on poszedł w lewo, a my sami, bez eskorty, skierowaliśmy się do pierwszych domków. Zapadał mrok. Ojciec wprowadził nas do jakiejś wiekowej chatynki. Była tam jedna izba i mała kuchenka, które wyglądały jak po huraganie. Wszystkie krzesła i stół - połamane, porozbijane szyby, szafa i garnki, rozbebeszone pierzyny, porozciągane jakieś szmaty. Było to mieszkanie żydowskie, bo na futrynie drzwi była przybita blaszka o charakterystycznym kształcie. Siedzieliśmy na podłodze, opierając się o ścianę, a ojciec zaczął nieprawdopodobną opowieść, którą przytaczam tak, jak ją zapamiętałem:

- Przeprowadziłem was tutaj, bo zbliża się noc, nie możemy poruszać się po ciemku nie znając hasła, mogliby do nas strzelać. A dlaczego do tej ruiny? Bo żaden z Niemców, widząc z zewnątrz tę chałupkę, nie zechce do niej wejść. Kiedy rozstaliśmy się na szosie, podoficer, który wyjmował z kabury pistolet, schował go z powrotem i wskazując na moją rękę bez palców zapytał, czy jestem inwalidą wojennym. W wyniku konwersacji łamanym językiem niemieckim dogadaliśmy się, że on też walczył w pier-

wszej wojnie światowej, wprawdzie po przeciwnej stronie, ale w tych samych miejscowościach w Galicji. Rozmowę zakończył zdaniem, że wobec tego jesteśmy kolegami. Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy i zacząłem wierzyć, że mnie nie zastrzelą. W tym czasie wyprzedzała nas kolumna koni, prowadzonych przez naszych żołnierzy. Mój w cudzysłowie "kolega" zatrzymał ją i kazał jednemu z jeźdźców posadzić mnie na konia. Tak dojechałem do folwarku leżącego naprzeciwko kościoła w Mszczonowie. Tu rozkazano nam konie wyczyścić, napić i dać siana. Po zakończeniu tych czynności wyszedłem przed stajnię. Zobaczyłem, że przy studni stoi trzech niemieckich oficerów. Starszy z gipsem na nodze podpierał się laską. Zaświtała mi myśl, by poprosić ich o pozwolenie dołączenia do was do kościoła. Podszedłem do nich, zdjąłem czapkę i kalecząc słowa zacząłem przedstawiać swoją prośbę. Widać nie bardzo mi to wychodziło bo zniecierpliwiony starszy Niemiec prawie krzyżąc zapytał:

- Mówisz po rosyjsku?

- Mówię.

- No to o co chodzi?

- Proszę o pozwolenie przejścia do kościoła, gdzie są moi synowie.

- Skąd znasz język rosyjski?

- Uczyłem się w gimnazjum i służyłem w wojsku rosyjskim.

- W którym pułku?

- W n-tym?

- W jakich latach?

- W od 1914 do 1916 roku.

- Kto był dowódcą?

- Taki a taki.

- Jakich miał pan kolegów w pułku?

- Takich a takich.

To wypytywanie wydało mi się jakieś dziwne, a dłużej obserwowana twarz pytającego, wydała mi się podobna do dawno widzianej.

- Czy ja tak się zmieniłem, że mnie nie poznajesz?

- Rysy pana twarzy są mi chyba znajome, ale nazwiska ani miejsca, gdzie mogliśmy się spotkać, nie pamiętam.

- Von Freitag, twój kolega z trzeciego szwadronu!

Otworzyła mi się klapka. Tak, to jest baron z Kurlandii, która wówczas należała do Rosji. Podał mi rękę, zaczął wypytywać o moje losy po tym, jak w 1916 roku odszedłem do rezerwy. Następnie opowiedział o sobie. Po rewolucji znalazł się w Niemczech. Wstąpił do partii hitlerowskiej, ma niski numer legitymacji NSDAP, teraz jest dowódcą eskort jeńców wojennych. W trakcie tej rozmowy zawołał jakiegoś olbrzymiego żołnierza i kazał mu w tłumie jeńców przy kościele poszukać Boczkowskich. Żołnierz wrócił z

meldunkiem, że wywoływani nie zgłosili się. Wtedy major wyjął z mapnika kartkę z różnymi pieczętkami i wypisał na niej zwolnienie z transportu dla całej naszej pięcioosobowej grupki. Przy pożegnaniu zapowiedział ojcu, że za parę dni wraz ze swoim sztabem zajmie pałac w Helenowie. Olbrzymowi wydał rozkaz, by zaprowadził ojca do kościoła i po odnalezieniu nas wyprowadził za bramę. Co było dalej sami wiecie. -

Tym ojciec zakończył swoje nieprawdopodobne opowiadanie.

Mimo, że przeżyliśmy to cudowne ocalenie, ciało dopominało się o swoje prawa. Bardzo doskwierał głód i pragnienie. Zaczęliśmy trochę po omacku i przy płomyku zapalniczki ojca szukać czegoś nadającego się do jedzenia. W kącie kuchenki znaleźliśmy ćwiartkę lekko spleśniałego, zeschniętego czarnego chleba. Podzielony sprawiedliwie, ssaliśmy jak cukierek. Woda była w pompie na podwórku widocznej przez okno. Baliśmy się jednak pompować by jej pisk nie sprowadził nam nieproszonych gości. Napiliśmy się rano. Woda wypita w nadmiarze po dwóch dniach głódówki szybko dała znać o sobie, zmuszając do częstych i bolesnych przystanków w marszu. Szliśmy bocznymi drogami i dotarliśmy do majątku Radziejowice, gdzie nas trochę podkarmiono, dano jakąś chabetę i zdezelowaną dwukółkę. Dowlekliśmy się do domu. Radość ogromna, łączy szczęścia. A kolumna jeńców szła dalej na zachód. Część naszych towarzyszy niedoli wróciła dopiero w styczniu, w opłakanym stanie psychicznym i fizycznym. Po tygodniu przed dwór zajeżdżał wojskowy samochód, a z niego wysiadł major von Freitag. Zatrzymał się w pałacu w Helenowie przez mniej więcej dwa tygodnie. Przed wyjazdem zadzwonił do ojca i powiedział:

- Masz trzy godziny czasu, by z pałacu zabrać co chcesz, potem przyjdzie inna jednostka i już nic stamtąd nie będzie można zabrać. -

Zabraliśmy trochę rzeczy, między innymi piękne ramy po wyciętych przez "kulturtregerów" obrazach.

W latach siedemdziesiątych przeczytałem w jakimś piśmie, że w Kijowie odbył się proces jednego w wielkorządców Ukrainy, generała Freitagą z wyliczeniem jego zbrodni. Został osądzony, skazany i stracony. Myślę, że to był "nasz von Freitag". Znajomość języka rosyjskiego i ukraińskiego, stosunków w tej części ZSRR, szarża majora w 1939r. i staż w NSDAP - predysponowały go do tego, by zajmować tak wysokie stanowisko. Jeśli to był on, to zastawia mnie jego ludzki odruch w stosunku do mego ojca w zestawieniu z później popełnionymi zbrodniami.

Po niemal cudowym ocaleniu z trzydniowej niewoli niemieckiej, zaczęliśmy z miejscową ludnością chować zwłoki naszych żołnierzy, leżące na polach i na łąkach między Brwinowem i Helenowem, poległych 12 września

1939 r. w czasie przebijania się do Warszawy. Kilkundniowy upał zaczął już zniszczać leżące w słońcu ciała.

Nie było czasu na zwożenie ich w jedno miejsce. Ze środka pól, czy łąk, znosiliśmy zwłoki na skraj dróg i tu w dość płytkich grobach układaliśmy, umieszczając obok, znalezione przy nich broń, amunicję i granaty.

Z kieszeni wyjmowaliśmy dokumenty, fotografie, listy. Odłamywaliśmy z identyfikacyjnych znaczków, zawieszonych na szyi, ich dolną część, by oddać to wszystko później w PCK. Na mogiłkach ustawialiśmy skromne krzyżyki. Praca była bardzo ciężka i nieprzyjemna. Rozdęte, pokrwawione i pokaleczone ciała, z rozbitymi nieraz twarzami, wyglądały upiornie. Częste torsje osłabiały nasze młode organizmy, nie oswojone z tak drastycznymi widokami. Poczucie obowiązku i cześć jaką mieliśmy dla obrońców ojczyzny, pomagały w przełamaniu słabości. Wypełniliśmy swój obowiązek. Wszyscy zostali pochowani, a było ich około trzydziestu.

Na wiosnę roku 1940, już jako zaprzysiężeni członkowie organizacji pod nazwą Tajna Armia Polska, a następnie Związek Walki Zbrojnej, otrzymaliśmy rozkaz szukania i gromadzenia broni do walki z okupantem. Mówiło się wówczas: "słoneczko wyżej - Sikorski bliżej". Wydawało się nam, młodym, że wolność jest w zasięgu ręki. Nie chcieliśmy słuchać starszych, którzy przewidywali, że niewola może potrwać dłużej.

Grupa nasza składała się z następujących osób: kaprała rezerwy rybaka z majątku Stanisława Olka, fornała Albina Szymańskiego także w randze kaprała, mego brata Tadeusza - ucznia i mnie - dwudziestolatka. W tym składzie postanowiliśmy rozpocząć wykonywanie rozkazu. Zakupiliśmy kombinezony z grubego drelichu, gumowe buty, długie gumowe rękawice, bańkę benzyny i zapas nafty, wazelinę do konserwowania broni, odpowiednie latarki i baterie. Przygotowaliśmy maski gazowe i łopatki saperskie. Umieściliśmy to wszystko w zamkniętym pomieszczeniu w piwnicy murowanego spichrza. Ustawiliśmy tam również beczki z wodą i kuchenkę elektryczną do jej podgrzewania.

Gdy przygotowania zostały zakończone, pewnej ciemnej nocy, ubrani odpowiednio i uzbrojeni w dwa pistolety i dwa granaty, które znaleźliśmy późną jesienią w remizach dla zwierzyny, ruszyliśmy parami polem do pierwszej mogiły, po uprzednim wypiciu sporej porcji alkoholu. Starsi koledzy ubezpieczali nas, stojąc z pistoletami i mając nas w zasięgu wzroku.

Pamiętaliśmy, że w pierwszym grobie karabin leży przy prawym boku ciała, toteż tylko tu rozkopywaliśmy ziemię. Ciemna noc, siąpiący deszcz, groza, makabryczne położenie i strach, by nas ktoś nie zobaczył przy tej pracy, odbierały nam logiczne rozumowanie. Zapomnieliśmy o wiszących

na plecach maskach gazowych. Do spieszego nałożenia ich zmusił nas trupi odór.

Dalej praca poszła szybciej. Namacaliśmy karabin, przyciemnioną latarką oświetliliśmy bok ciała i wykopany dół, by sprawdzić, czy nie ma tam naboji lub granatów. To, co znaleźliśmy, wkładaliśmy do gumowego worka. Stosunkowo łatwo szła praca przy grobach, w których sami układaliśmy zwłoki, bo wiedzieliśmy, gdzie i czego szukać. Gorzej było z innymi grobami, trzeba je było rozkopywać szerzej i w ciemności, wkładać ręce pod rozkładające się ciała. Zmienialiśmy się przy rozkopywaniu, by odpocząć trochę fizycznie i psychicznie. Całe szczęście, że nie musieliśmy patrzeć na twarze zamrtych. Po kilku godzinach pracy wracaliśmy do zaimprovizowanej łaźni, czyściliśmy i konserwowaliśmy broń, wynosiliśmy ją i zatapiali w pobliskim stawie, w ściśle określonym miejscu. Następnie rozbieraliśmy się i myli trochę benzyną i obficie wodą, nie żałując mydła. Nie na wiele jednak to się przydało, byliśmy przesiąknięci trupim zapachem.

Po pierwszej nocnej pracy nasze najbliższe rodziny zdecydowały, że dopóki nie zakończymy swego zadania, musimy przebywać w naszej piwnicy. Konspiracja była więc całkowita. Wieczorami rodzice moi donosili całej czwórce jedzenie, ale po doznanych wrażeniach trudno było nam coś przełknąć, ratował nas alkohol, trochę nas otępiający, dodawał odwagi i pomagał zapomnieć o męczących nas we śnie makabrycznych obrazach. Gdy mniej więcej po tygodniu zakończyliśmy zadanie, byliśmy wykończeni fizycznie i psychicznie.

Plonem akcji było kilkanaście karabinów, jeden karabin przeciwpancerny, jeden ręczny karabin maszynowy, kilkaset naboji i kilkadziesiąt granatów.

W 1941 roku rodzina nasza została wyrzucona przez Niemców z majątku Parzniew. Zamieszkaliśmy w Pruszkowie. Opiekę nad zmagazynowaną bronią przejął Stanisław Olko. Jak się później dowiedziałem, została ona wyciągnięta z wody i służyła oddziałom Armii Krajowej w Pruszkowie, zarówno do celów szkolenia, jak i w różnych akcjach. Nie wykluczone, że jakaś jej część znalazła się w Warszawie i służyła powstańcom.

Co roku odwiedzam rodzinne groby w Pruszkowie i przy tej okazji, przechodząc obok zbiorowej mogiły ekshumowanych w 1943 roku żołnierzy polskich, poległych w 1939 roku, zatrzymuję się, zapalam świeczkę i przepraszam, że niektórym z nich zakłóciłem kiedyś spokój.

Teraz już nikt im tego spokoju nie zabierze.

Cześć ich pamięci !